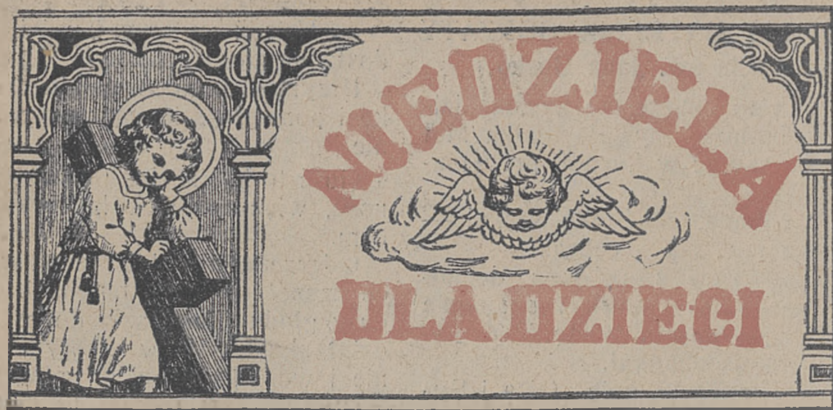


Nr. 5. Częstochowa, dnia 7 marca 1937 r. Rok VII.



Św. Jan Bosko

Św. Jan Bosko, jak już wiecie z poprzednich artykulików, był zawsze troskliwym opiekunem młodzieży. Ilustracja nasza przedstawia świętego w otoczeniu dwu chłopców, którym zapewne z gorącą miłością tłomaczy, że droga ich życia powinna być pełna cnót i miłości Boga oraz bliźniego.



KŁOPOTY MATKI MAŁGORZATY
Z życia św. Jana Bosko.

— Jak to dobrze, że ksiądz dzisiaj w domu — myślała matka Małgorzata, szyjąc w kuchni przy małej lampce.

Noc ciemna, choć oko wykol — i deszcz leje, jak z cebra...

Rzeczywiście z za okna dochodził monotonny plusk i dudnienie o blaszaną zepsutą rynnę.

Nagle ktoś zapukał.

— Kto tam? W imię Ojca i Syna, na taką pluchę!

— To ja — nieśmiały głos — drzwi się otworzyły i stanął w nich mały chłopak.

— Boże, co za niedola!

Chudy był — skóra i kości. Woda lała się ciurkiem z nędznego ubrania i z kapelusza, który bezradnie obracał w rękach. Za chwilę naokoło niego utworzyła się kałuża. Prawie bosy, stał w niej przemokły i trzęsący się z zimna.

— Ktoś ty? — spytał ksiądz, wyjrzawszy z pokoju.

— Mularczyk.

— Ze wsi przyszedłeś? z gór?

— Tak.

— Masz rodziców?

— Nie, jestem sierota.

— I nie możesz dostać roboty?

Skinął głową, podnosząc wystraszone, pełne zdziwienia oczy na księdza. Skąd wiedział wszystko? Czyżby go znał.

Nie, nie znał go, ale zwykła to była rzecz. Chłopcy przybyli ze wsi — przymierali głodem w Turynie.

— Pewność już wszystko wydał, co ci dali na drogę — mówił tym czasem ksiądz, uśmiechając się, jakby zgadywał jego myśli.

— Wczoraj jadłem ostatni raz — rzekł nawpół z płaczem.

— Biedactwo — szepnęła matka Małgorzata i czemprędzej dołożyła na ogień.

— Usiądź tu przy komini, zaraz dostaniesz coś ciepłego.

Przyniosła mu swoją dużą chustkę i pomogła ściągnąć mokre ubranie.

Gość to był zesłany przez Opatrzność, więc mu służyła całym sercem.

Odgrzana z obiadu zupa wkrótce zaczęła dymić i bulgotać, chłopcu z głodu ślinka szła do ust. Siedział skulony przy ciepłym komինie i wodził oczami za gospodynią.

Sierota, mój Boże! litowała się nad nim.

Nalała mu czubaty talerz zawiesistej zupy i przysunęła do stołu krzesło.

— Jedz, biedoto — rzekła, gładząc go po mokrych jeszcze włosach.

Chłopiec gonił resztkami sił, ale gorące jedzenie zrobiło swoje.

Zjadł, odetchnął parę razy głęboko i pocałował ją w rękę.

— Czekajże, pościelę ci tu w cieple — rzekła wzruszona.

Gruby siennik rozłożyła na środku kuchni, prześcieradło i koc, znalazła się nawet poduszka.

Królewskie spanie. Biedny chłopak patrzył w głębokim rozradowaniu na to krzątanie się, patrzył jak przez mgłę, bo kleiły mu się oczy i głowa opadała bezwładnie ze zmęczenia.

Razem zmówili krótką modlitwę, a gdy leżał na swym wspaniałym posłaniu, matka Małgorzata pochyliła się nad nim.

— Śpij dziecko, widzisz jaki Pan Bóg dobry dla ciebie — pod opieką księdza wyjdziesz na ludzi.

Taki był początek internatu księdza Bosko. Wkrótce przybyło jeszcze sześciu i w małym mieszkaniu nie mogli się pomieścić, trzeba było pomyśleć o powiększeniu zakładu. Gospodarz miał ochotę sprzedać cały dom i pewnego dnia

sam rozpoczął.

— No więc jakże będzie? Ksiądz Bosko nie chce kupić mego domu?

— Owszem, ksiądz Bosko kupi, jeśli pan zechce go rozsądnie ocenić.

— Powiedziałem osiemdziesiąt tysięcy.

— Nie ma mowy.

— Ileż ksiądz daje?

— Oceniają dom na dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu tysięcy — zapłacę trzydzieści. (c. d. n.).

MARZEC.

Choć u mnie brzydka szaruga
Przeplata się co dzień trzeci,
To już noc nie taka długa,
To już słonka jaśniej świeci.
Mróz ze mną nie zaswawoli-
Bo mu mocno natrę uszu,
Oczyszczone z niegu pola,
Wiatry ciepłe wnet osuszą,
I skowronki puścić raczę,
Ze śpiewaniem, hen, w przestworze.
Wyprowadzę z chat oraczy,
Niech wsiewają jare zboże.
Jak mróz słonka nie przekupi,
Wiatr północny nie pomoże,
Zazielenię przy chałupie,
Pokrzywy, a w polu zboże.
Witam miłych gospodarzy!
Zniknął w mrocznej dali luty.
Więc wam szczerze radzi marzec,
Ściagnać wojłokowe buty.

K. Kacynel.

WIERNOŚĆ NAGRODZONA
Opowiadanie z Afryki.

Opasły Van Trauben zatrząsł się homerycznym śmiechem, od którego drżały drewniane ściany domu. Potem, klepiąc przyjaźnie po ramieniu starego murzyna, który stał przed nim w pełnej szacunku postawie, rzekł dobrodusznie:

— Nie, nie, mój stary chłopcze... nie gadaj mi podobnych bzdur, inaczej zaduszę się od śmiechu.

— Panie — odrzekł pokornie lecz z powagą i stanowczo czarny — powiedziałem to, co myślę; nie porzucę nigdy religii katolickiej.

Van Trauben zerwał się na nogi i odłożył na stół wielką fajkę z porcelany; w oczach jego znikły wszelkie ślady dobrodusznej poufałości, a ze zbielałych od gniewu warg wyrwał się groźny syk:

— Co?! — ty stary psie ,ty chcesz mieć jakąś religię?!

— Panie — rzekł łagodnie murzyn, podnosząc oczy w niebo — ja nie mam nic więcej prócz religii.

Van Trauben chwycił go za ramię i potrząsnął gwałtownie.

— Twoją religią — ryknął — jest religia twego pana. Czemże ty jesteś, jak nie sobaką murzyńskim? Jesteś moją własnością i mogę z tobą uczynić, co tylko zechcę. To klecha katolicki uczy cię buntu? Jesteś mój, mój! rozumiesz?!

— Nie, panie — przerwał z siłą murzyn — nie jestem twoim, należę do Chrystusa, który oddał Swą Krew za mnie.

Van Trauben spojrzał na niego przez mgnienie oka, zdumiony takim oporem, potem rzucił się na niego z pięśćmi i powalił go na ziemię.

*

Od niedawna srożyło się w Transwalu ciężkie prześladowanie misjonarzy katolickich. Boerzy, zdziczały lud, pochodzenia holenderskiego, u którego kwitło jeszcze niewolnictwo, zawładnąwszy krajem, nie zaprzestali niecnego rzemiosła. Sami wyznając kalwinizm, za poduszczeniem swych ministrów, postanowili pozbyć się misyj katolickich. Wnet katolickie kościółki, kapliczki, szkoły i ubogie szpitale, zbudowane z takim wysiłkiem, szły w dym i ruinę, a właściciele rozległych plantacyj stawili swych katolickich murzynów przed strasznym dylematem: albo porzucić religię, albo farmę a z nią pracę i chleb. Van

Trauben był jednym z najokrutniejszych prześladowców katolików: własną ręką podłożył ogień pod kościółek i nędzne mieszkanie O. Ryszarda, którego wypędził ze swych nieobeszłych ziem. Dobrze wiedząc, że za przykładem starego sługi Boba pójdą jego murzyni, usiłował przekonać go twardemi argumentami do kalwinizmu.

Bob dźwignął się powoli z ziemi, ocierając ręką krew, która broczyła mu twarz.

— Panie, — rzekł głosem przerywanym — możecie mnie męczyć, możecie mnie nawet zabić, lecz ne zrobicie ze mnie odstępcy.

— Precz! — krzyknął boer w największym podrażnieniu — jutro doniesiesz mi, że rzuciłeś swą religię, w przeciwnym razie wypędzę cię, jak psa.

— Jeżeli taka jest wasza wola, pójdę zaraz, panie, ponieważ nie zmienię nigdy swego postanowienia.

Stary murzyn zwrócił się chwiejnym krokiem ku wyjściu, odprowadzony złorzeczeniem boera.

*

Zaledwie zniknął we drzwiach, w izbie ukazała się młoda dziewczynka, lat około dziesięciu, jedyna córka Van Traubena. Piękne dziecko o jasnych włosach, mała Mary, była promykiem słońca, rozweselającym odludną farmę; ona jedna wdziękiem swego niewinnego dzieciństwa umiała rozkazywać zdziczałemu koloniście.

— Co się stało, tato? — zapytała od wejścia, biegnąc w objęcia ojca. — Słyszałam twój głos wzburzony...

Van Trauben podniósł dziewczynkę jak piórko i złożył na jej czole czuły pocałunek.

— Nic ciekawego, mój aniołeczku — rzekł słodko — był tu murzyn, który mnie rozgniewał

— Niegodziwiec! A kto to?

— Ah, to stary Bob...

— Jednak, tato, Bob jest tak dobry! Jak mógł cię rozgniewać tak bardzo?

Van Trauben przygryzł wargi, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Pójdę go skrzyczeć — rzekła mała i skierowała się ku wyjściu.

— Nie, zostań tu — krzyknął za nią Van Trauben, lecz napróżno, bo dziewczynka, trochę nazbyt przywiązana do wykonywania swoich zachcianek, była już daleko. Boer zdjął ze ściany harap, zwyczajny instrument w ręku kolonisty, i wyszedł zwolna za córką. c. d. n.



„Śnieżce" z Kielc. Za pozdrowienia dziękujemy. Pisz częściej.

Jurkowi K. z Sosnowca. Rozwiązania, jak zobaczysz w dziale rozrywkowym, były dobre. Nadeślij swój adres, a wyślemy nagrodę.

Zosi Kurkównie. Prosimy bardzo o szarady. Wierszyki słabe. Pozdrowienia.

Wszystkie dzieci pozdrawia

Ciocia Belunia.

DLA ROZRYWKI

Zagadka 1.

Słońce mi wrogiem, a matką zima,
Pótym przy życiu, póki mróz trzyma
Hen, na północy, me kraje,
Gdy mnie chcą ogrzać, sobą być przestaję.

Zagadka 2.

Z wiosną do nas przyleciała
Ta ptaszyna czarna, mała.
Murować się nie uczyła,
Jednak gniazdko ulepiła.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy, jak zwykle, trzy nagrody książkowe.

Rozwiązania z Nr. 2.

Zagadka 1: Czas. **Zagadka 2:** Mróz.

Dobrych rozwiązań nadesłano 8. Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) Zosia Kupiecka z Częstochowy, 2) Jurek K. z Sosnowca, 3) Marysia B. z Warszawy.